



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO

W TARNOWIE.

(Ciąg dalszy).

II.

Pierwszy dzień obrad (17 Lipca) rozpoczął się, jak zazwyczaj, od nabożeństwa w katedrze miejscowej, celebrowanego przez księdza infułata Gwiazdonia, podczas którego wykonano bardzo starannie Mszę Piotrowińską Moniuszki. Wspaniały grobowiec hetmana Tarnowskiego, zajmujący całą długość i wysokość prawej ściany presbiterium, przypominał świetne czasy przeszłości i do poważnych reflexy ducha nakłaniał.

Piękna sala Kasy Oszczędności wygodnie pomieściła wszystkich uczestników zjazdu; publiczność zajęła galerye, stół sprawozdawczy obsiedli liczni dziennikarze, między którymi zauważyliśmy więcej niż lat poprzednich korespondentów pism warszawskich. Uroczystość chwili podniosły piękne przemówienia. Pierwszy zabrał głos burmistrz miasta, p. Rogojski: „Witamy apostołów oświaty! Rodzina i szkoła to najgłówniejsze czynniki wychowania czyli przyszłości narodu; w waszych rękach ta przyszłość spoczywa. Wielkie wasze zadanie spełniacie wśród przeciwności, i tem większa właśnie wasza zasługa, że je spełniacie godnie i poobywatelsku. Miasto nasze obchodzi dziś uroczystość, witając was w murach swoich; jako reprezentant tego miasta oświadczam, że Tarnów nie podziela i nie podzielał nigdy innych

przekonań prócz tego jednego: cześć i poszanowanie stanowi nauczycielskiemu!”

Przemówił następnie hr. Potulicki, wice-marszałek Rady Powiatowej, witając zgromadzonych imieniem powiatu: pod hasłem szkoły zaczęła się nasza reforma i wyzwolenie z niewoli ekonomicznej i z niewoli duchowej; nauczycielstwo. Towarzystwo Pedagogiczne zapisało piękną kartę w historii tego odrodzenia kraju,—zdziałaliście bardzo wiele: wpływ wasz poza szkołę sięga, skoro widzimy, jaką rozbudziliście ochotę do nauki, do pracy. Zrozumieliście swoje zadanie, z działalności waszej widać, że nie wierzycie w kosmopolityczną oświatę, która w naszym zwłaszcza typowym narodzie nie może być inną, jak tylko opartą na tradycyi, na swojskości.

Następuje dłuższe przemówienie księdza infułata Gwiazdonia: Człowiek w części tylko jest istotą szkoły i nauczania, zawisł on od społeczeństwa, na którego łonie się wychowuje, którego jest uczniem do ostatniego tchnienia swego życia—jest więc przedewszystkiem istotą społeczną. Duch łączności tworzy społeczność, naród, państwo, łączy narody, tworzy towarzystwa i temu-to właśnie duchowi łączności zawdzięczać należy wasze dostojne zgromadzenie. Szkołę, niosącą pochodnię oświaty, i społeczność, złączoną rozmaitemi węzłami, przenikał zawsze duch wiary, religii, a Kościół nie był nigdy wrogiem ani przeciwnikiem oświaty, jak to w pewnych czasach mniemano, jak to i dziś na niedalekim Zachodzie słyszeć się daje;—przeciwnie, był najgorętszym krzewicielem oświaty i cywilizacji, i bywał jedynym ich przybytkiem, bo pod jego właśnie skrzydłami pierwsze rozwijały się szkoły. Czynniki wychowania, uspołecznienia i religii łączą się i jednoczą w szkole, w społeczeństwie i Kościele. Wysoce cenię sobie ten zaszczyt, że jako przedstawiciel Kościoła mogę powitać was imieniem duchowieństwa.

Krótko a dobrze powitał zgromadzenie imieniem gminy izraelskiej radny miasta, p. Ringelheim, ukazując na świętość zadania szkoły, do której garną się wszystkie dzieci: znikają hajde-ry—mówił — a młodzież żydowska garnie się do szkół waszych, bo rozwijacie w niej ducha obywatelstwa, bo zapalacie jej serca do miłości kraju, który nas przygarnął wtedy właśnie, gdy nas gdzieindziej prześladowano, na stosach palono.

Nakoniec imieniem miejscowego nauczycielstwa pozdrowił zgromadzenie dyrektor Trzaskowski. Przypomniał pierwszy zjazd w Tarnowie przed 12-tu laty (1872) w ważnej chwili, kiedy kraj cały stanął pod hasłem oświaty ludowej, dziś czują to samo wszyscy, ale stoją poróżnieni i powasnieni,—nawet Towarzystwo Pedagogiczne spotykają zarzuty... goić rany — to nasz cel. Pod hasłem wiary i miary rozpoczniemy obrady: wiary w świętość powołania, w lepszą dolę na przyszłość, która nie minie, jeżeli gorliwie, sumiennie utrzymywamy się na wysokości swego zadania; miary w życzeniach, zastosowanych do warunków, w jakich się kraj, a zwłaszcza sprawy nauczycielstwa, obecnie znajdują. Niechaj duch wielkiego hetmana przewodniczy zastępom pracowników, co jak on niegdyś w ořeźnej walce, tak oni dziś w zawodzie nauczycielskim spełniają obowiązek względem społeczeństwa.

W długim, pięknym, o barwie religijnej, przemówieniu, podziękował prezes Sawczyński reprezentacyom za tak zaszczytne przywitanie. Wyszedszy z zasady, że naród tylko przez wychowanie podźwignąć się może i rozwijając motywa mówców poprzednich, nakreślił ideał wychowania, opartego koniecznie na pracy u podstaw, na wychowaniu tego ludu „co wicherzają spodem, dotąd się jeszcze nie nazwał narodem,“ ideał wychowania religijnego i narodowego, osnuwającego się w dalszym ciągu na planie wiekopomnej Komisji Edukacyjnej, z którym śmiało iść mogą w zawody wszystkie owocne plany edukacyjne. Pod ko-

niec przemówienia zwrócił się do Czechów: na XVIII-tym walnym zjedździe spotyka nas nowy zaszczyt (oklaski), miło nam powitać tych gości. Publicznie dziękujemy za udział. Delegaci naczynictwa czeskiego niech będą przekonani, że najmiłszymi są naszymi gośćmi i braćmi, niech powiedzą prastarej Pradze o znakach radości, z jaką ich tutaj przyjmujemy.

Z prawdziwymi też oznakami radości przyjęto czeskie przemówienie Kobra.

Odczytano następnie kilka telegramów gratulacyjnych, między którymi czeskie, od jednoruczytelniczkich i od redakcyi czasopism pedagogicznych, przyjęto z wielkim entuzjazmem. Prezes przypomniał dwóch zmarłych honorowych członków Towarzystwa s. p. Strzeleckiego i St. hrabiego Potockiego; zgromadzenie uczciło ich pamięć przez powstanie. Od czytania sprawozdania z całorocznej czynności Zarządu Głównego Towarzystwa i innych sprawozdań, jako drukowanych i rozdanych obecnym, uwolniono odnośnych referentów. Wybrano kommissyę do lustracyi różnych rachunków, poczem przysły pod obrady wnioski komitetu wiecowego w Kołomyi; otworzyły one pole do rozpraw, które cały prawie trzydniowy czas, na posiedzenia przeznaczony, pochłonęły.

III.

Odstąpienie pomnika Brodzińskiego.

Uroczystości tarnowskie doszły do kulminacyjnego punktu w pierwszym dniu obrad (17 Lipca) popołudniu. Wcześniej przed godziną 4-tą gromadzić się zaczęły przed gmachem gimnazjalnym tłumy publiczności, i to takiej, która niewątpliwie nie rozumie potrzeby ani znaczenia pomników, dla której zjazd pedagogów, ich rozprawy pozostaną na długi jeszcze czas zagadką. Sztandary, festony, białe zasłony udekorowane herbami, wieńcem laurowym i innymi insygniami, zakrywały pomnik. Liczna publiczność, tudzież członkowie zjazdu gromadzili się pod samym gmachem; około wysoko wzniesionej trybuny zasiedli reprezentanci miejscowej władzy: Starosta, książe Poniński, Burmistrz miasta Rogojski, Prezes Akademii Umiejętności w Krakowie, Dr. Majer, członkowie zarządu Towarzystwa Pedagogicznego i liczni korespondenci. Rozdawano tutaj egzemplarze „Wiesława“ w niemieckim przekładzie Jana Kornickiego, profesora gimnazjum tarnowskiego. Ogólną uwagę zwracał na siebie poważny zięć Brodzińskiego p. Rucz, właściciel wsi Faszyce pod Błoniem w powiecie Grodziskim. Kierował całą uroczystością dyrektor gimnazjum p. Trzaskowski, za którego staraniem i wpływem stanął ów pomnik z funduszy, których w ciągu lat kilku koncerta w miejscowym towarzystwie muzycznym, dobrowolnie składki i inne źródła dostarczyły. O ile nam wiadomo, szanowny dyrektor zamierza takimże sposobem wzniesić drugi pomnik przed gimnazjum zgasłemu przedwcześnie Józefowi Szujskiemu, urodzonemu, jak wiadomo, w Tarnowie.

Ksiądz Prałat Gwiazdon w pontyfikalnych szatach poświęcił uroczystości podstawę pomnika w miejsce niedokonanego w swoim czasie poświęcenia kamienia węgielnego przy rozpoczęciu budowy. Następnie wszedł na mównicę prezes Towarzystwa Sawczyński i podniósł uroczystość w długiej mowie, z właściwą sobie umiejętnością i sztuką wypowiedzianej. Mowa ta, pełna podniosłej treści i dobra w głównych swoich częściach, zyskałaby — odważamy się to powiedzieć — na sile i równości, gdyby była treściwszą i w szczególach obmyślaną. Mamy nadzieję, że p. Sawczyński ogłosi drukiem rzecz tę po pewnym opracowaniu, a stać się ona może wzorem mów w podobnych okolicznościach.

Czcąc pamięć zasłużonych, — mówił między innymi, — jest to dowodzić świadomości życia, jest to spełniać obowiązki życia narodowego i własnego; człowiek każdy żyje życiem całości; kto nie

rozumie, kto nie cześci zasług wielkich mężów: ten pisze wyrok sam na siebie. „Kłątwa ludom, co swoje mordują proroki“ — kłątwa narodowi, który by bezduszną obojętnością i zapomnieniem mordował pamięć swoich proroków. Czcąc zasłużonych, jest to potęgować życie narodowe.

A nas, nas wielkich praocjów posągi
Do świetnych czynów wzywają, jak ongi;
Długim szeregiem ogrodziły rynek,
Ażeby sędzić każdy nasz uczynek,
Aby nas gromić marmurową twarzą...

Zaznaczył mówca, że odstąpienie pomnika Brodzińskiego jest uroczystością, nie tylko narodową, ale i pedagogiczną. Skreślił poetyczną młodocę Kazimierza, przypominając, że piękny pomnik wystawił mu już Siemiński w „Żywocie Brodzińskiego“. Mniej dosadnie oznaczył stanowisko Brodzińskiego jako poety, ale za to wyraźniej scharakteryzował go jako profesora, a zwłaszcza jako pedagoga-wychowawcę, dla którego sama nauka była jednostronną; nietylko umysłowy, ale religijny i obyczajowy kierunek wychowania uznawał on za konieczny, naukę pojmował w zastosowaniu do korzyści społecznej: *non scholae sed vitae discendum*, nie dla szkoły, ale dla życia uczyć się należy. W zakończeniu szanowny mówca wykazywał wspólność poety z ludem, pomiędzy którym się wychował, a Wiesława swego na treści ludowej osnuł i przez ten lud za pośrednictwem popularnego życiorysu copredziej powinien być poznanym; ponieważ zaś Towarzystwo Pedagogiczne zadanie swoje spełnić usiłuje przez lud, przez oświecenie i podniesienie tego ludu, ztąd wspólność Towarzystwa z autorem Wiesława wypływa. Zamknięcie stanowiła piękna apostrofa do młodzieży, jak powinna z czcią i po szanowaniem, ale koniecznie i ze świadomością żywota i zasług wielkich mężów, około ich pomników przechodzić. Żałować wypada, że młodzież ta nie miała swych przedstawicieli, co, sądzę, nie byłoby trudnem do wykonania mimo wakacyjną porę, z uwagi, że w samym Tarnowie mieszkać musi spora liczba uczniów miejscowego gimnazjum.

Z okien gmachu dała się słyszeć kantata, a potem poważne tony orkiestry. Dano znak i opadły białe zasłony a oczom widzów ukazało się popiersie Kazimierza z Królówki, dwa razy naturalnej wielkości na odpowiedniej podstawie z kamienia piaskowego. Wysokość całego pomnika dochodzi prawie do 7 łokci. Czarna tablica marmurowa nosi napis: „Kazimierzowi Brodzińskiemu, uczniowi Gimn. Tarnowskiego, nauczycielowi-poecie, wdzięczni rodacy“. Pomnik na tle wspaniałego gmachu gimnazjalnego przedstawia się, skromnie wprawdzie, ale poważnie; popiersie nie odznacza się podobieństwem rysów, sprawia przecież efekt pożądany. Długo znakomitego profesora-rzeźbiarza Gadomskiego, umiało wykuć rysy i stworzyć pomnik, około którego nikt, choćby (przypuścimy) nieświadom rzeczy, nie przejdzie obojętnie. Widok pomnika zdjęty przez miejscowy zakład fotograficzny Majewskiego w formie gabinetowej (po cenie niewygórowanej 40-tu centów z przesyłką) zasługuje na rozpowszechnienie.

(Dokończenie nastąpi)

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Widział jeszcze chodzący po nim cień matki. Teraz wszystko się miało odmienić; ale też Hor-

piński, jakie takie zaprowadziwszy gospodarstwo nie myślał tu pozostać. Słuchał rady Wojtki: jechać miał bez celu, bez myśli, ot tak wprost dla odegrzania się na słońcu, dla rozsiania życia, będącego ciężarem, po gościńcach — jechał i śmiał się sam z siebie. Podróż go uleczyć nie mogła.

Zima nadchodziła, gdy pierwszy ułamek dziennika, przeznaczony dla Wojtki, — doszedł do Makolągwy.

— „Piszę do ciebie z Wiednia — rozpoczął Sylwan. — Podróż, aż tutaj przebyłem w rodzaju jakiegoś zdrętwienia i półsenności. Mój dworek zostawiłem na łasce ludzi prawie mi nieznanym; prosiłem tylko pani Bończyny, aby na nich miała oko...

„Dałem dowód wielkiej mojej powolności dla ciebie, kochany Wojtku, a razem wielkiej jeszcze słabości własnej, idąc za twoją radą.

„Znasz moje położenie i wiesz, że z niego wyjścia niema innego, tylko drogą fałszu i kłamstwa, którym się ja brzydzę; wiesz i to, że samobójstwo mam za ucieczkę z placu boju. Co teraz z tem życiem zrobić? w istocie było zagadką, ale się z niem pieścić i koniecznie je sobie osładzać, gdy los mój zdaje się się co innego mi przeznaczać — nie wiem czy się godziło.

Jest to wyzywać na rękę ten fatalizm nieunikniony — niezbyt, który, bądź co bądź, stoi ponad nami i ponad siłami, jakimi rozporządzamy. Nikt nie może uniknąć tego, co w kolebce przyniósł ze sobą jako swą dolę niezwykłą...

„Jestem też pewien, że mi ta rozrywka, do której namówiłeś mnie — niewiele osłodzi, a może stan duszy uczyni bolesniejszym jeszcze. Wówczas gdyśmy z tobą razem i z Bochenkiem przebiegali te Włochy, które ja teraz nanowo mam widzieć, w innych zupełnie warunkach — byłem całkiem różnym od dzisiejszego mego ja, zapatrywałem się inaczej na życie, — położenia własnego nie oceałem jak teraz.

„Śmiejąc się, unosząc, marząc, przebiegaliśmy ten kraj uroczy, który ja teraz będę widział innemi oczyma, a i on od czasów tych wielce się zapewne odmienił. Będzie to więc jakby spotkanie się dwóch przyjaciół, którzy po latach wielu schodzą się znów, ale poznać się już nie mogą.

„Niestety — kochany Wojtku — prawo nieustannej metamorfozy jest najogólniejszem dla wszystkich istot, dla wszelkiego bytu — i niema z niego wyjątków. My tak dobrze podlegamy mu, jak granitowe skały, jak piasek na dnie morza, obłoki — i co tylko istnieje.

„Nic nie trwa — wszystko się „staje“ i znika. My od kolebki do grobu jesteśmy też w ciągłych przeobrażeniach, chociaż do wielu z nich się nie pozuwamy, bo przychodzą one powolnie i stopniowo.

„Od czasu naszej podróży potwierdzenie tego prawa wryło się dobitnie na wszystkim, co po raz drugi teraz spotykam. Znajduję wprawdzie nienaruszone monumenta, któreśmy oglądali razem, — ale, uwierzysz ty temu? one nawet przez zmianę tego, co je otacza: oczów naszych i stosunku naszego do nich, całkiem mi się dziś wydają inaczej.

„To prawo metamorfozy musi mieć przeciętą racyą bytu, — gdy jest zasadniczem. Nas boli ono, bo mybysmy pragnęli trwać i zapewnić byt sobie — ale co ten proch, jakim my jesteśmy, znaczy wobec ogromu, w którym wiruje?

„Przejeżdżałem przez Kraków. Pamiętasz Bochenka, jak płakał i zachwycał się wśród tych dosyć zaniedbanych ruin, tej wielkiej wspaniałej konchy, z której wyszło ciało, co ją ożywiło, a napełniły drobne istotki... Zmieniło się tu wiele też na lepsze, ale powoli idzie metamorfoza...

„Dawne życie zbyt głębokie tu wryło kolebki, których nowe, daleko słabsze, zatrzcć tak łatwo nie potrafi.

„Żywej duszy znajomej, nikogo, coby miał jaki związek ze mną, albo mnie mógł obchodzić. Daje to wielką swobodę, ale razem czyni człowieka niby upiorem z innego świata, odwiedzającym niewidomie teatr, na którym miejsca niema dla nie-

go samego. Zabawiłem tu krótko, nie zadając sobie pracy spełnienia obowiązków sumiennego turysty. Miasto mi się wydało ubogiem, smutnem — a! i brudnem!

„Nie wiem jak komu, ale dla mnie... brudy wszelką odejmują poezją przedmiotom. Natura, gdy niszczy, dokonywa tego obowiązku z jakimś sromem dziewiczym, pokrywa roślinami rany i śmieć, osłania zgniliznę, przerabia ją co najrychlej na życie, na formy wdzięczne. Człowiek, nawet, gdy pragnie zapobiedz zniszczeniu, nie umie działania czasu złagodzić i upięknąć. Czego się tknie, to zwala i wykoszlawi... Nie gniewaj się na mój pesymizm... Powiedz sobie, że to moja choro-
roba i znoś ją.

„Wiedeń doniepoznanie się przerobił, a miałbym jemu i wszystkim innym miastom odmładzającym się do zarzucenia, że zbyt radykalnie się odradzają. Jakgdyby dla historii i dla poszanowania tej przeszłości, którą nam wydziera prawo zniszczenia, nie można było nowego Wiednia zbudować, nie naruszając starego, i nie zachowując go jako relikwii?”

„Człowiek burzy tu nielitościwie... W środku miasta wiele pozostało jeszcze może z dawnych czasów, ale to codziennie znika. Odmładzają się domy, białą i różną kamienicę, pałace niby w starym stylu przeistaczają się na wcale nowe hybrydy, do których ani przeszłość ani teraźniejszość się nie przyzna.

„Tradycyjny charakter ludności wiedeńskiej znalazłem natomiast mniej zmienionym niż fizjognomią miasta. Zawsze to tażsama aglomeracja zlewających się narodowości, których mieszanina wyradza przeszliczne typy, bo natura jest wybredną; zawsze to ten lud grzeczny, miękki, lubiący się bawić, odpoczywać, marzyć a niebardzo pracować.

„Katonów tu szukać, tu, — śmiesznie-by było; ale Lukullów znaleźć łatwo... i Sardanapalów na różną skalę. Dla mnie ten bawiący się wesoły Wiedeń, przez sprzeczność może ze stanem mej duszy — był przykrym. Wydał mi się płochym; życia tu nikt poważnie nie zdaje się brać, a wszyscy zużytkowują je chciwie.

„Obejrzawszy się zaledwie, jutro ruszam znowu przez ten Semmering, który przebywaliśmy razem, w ciągłych zachwytach; ale nie zajadę do Tryestu i wprost podążę do Wenecyi. Nie mam ochoty już, jak wówczas, ze statku, o wiosennym poranku, patrzeć na wynurzającą się z łona morskiego Królowę Adryatyku — zdetronizowaną.

„Jestem w Wenecyi... ale przybycie moje do niej, było w zupełnej sprzeczności z owym pamiętnym porankiem wiosny, gdyśmy stali na pokładzie statku, niemi ze zdumienia i radości. Byliśmy młodzi.

„Znalazłem się tu nocą, wieczorem raczej, dżdżystym, smutnym, a wędrowka gondolą od dworca kolei do gospody pod księżycem — była pełna zgrozy i fantastyczności.

„Z łona ciemności wilgotnych — wynurzały się się odrapane mury, brudne ściany, pleśnią okryte, ruiny domowstw, opustoszone jakieś i jakby wymarłe budowle. Cisza, pluskaniem wioseł przerywana tylko, noc poprzerzynana żółtymi pasami jakiegoś światła cmentarnego; na kanałach, jak katafalki czarne, stojące ogromne barki nawpół pogniłe; gdzieniegdzie przesuwający się cień żywej istoty w łachmanach; wałące się słupy, do których niegdyś przymocowywano gondole; wszystko to, jakby we śnie chorobliwym, przesuwa się przed oczyma mejmi.

„Wenecya, nietylko mi się nie wydała piękną, ale napełniła mnie wrażeniem jakiejś zgrozy i niewysłowionego smutku.

„W Lunie, zamiast tego pokoju, który mieliśmy na dole, a gdzie naówczas tak było słonecznie i wesoło, dano mi w kurrytarzu izbę jakby więzienną, małą, cuchnącą wyziewem tych kanałów, które wieczną parują zgnilizną.

„Nie miałem nawet ochoty kilka kroków zrobić do kawiarni Floryana, która o tej porze jeszcze bywa otwartą i miewa gości.

„Nazajutrz, szczęściem, wyjrzało słońce, i ja

wywlókłem się z gospody na plac Ś-go Marka. ten sławiony, najpiękniejszy salon w Europie.

„Oryginalny on jest — lecz już mi się nawet pięknym nie wydał. Wszystko postarzało i zmalało mi w oczach; Ś-ty Marek jakby się głębiej jeszcze zapadł w ziemię.

„Za czasów austriackich — więcej tu było życia i ruchu, bo *Tedeschi* obudzali opozycją, a walka wszelka nie daje usnąć. Dziś Wenecya trochę rozspana, ale lata podziurawione pałace. — Nie poznałbyś *Fondago dei Turchi* tak się wyelegantowało tylko, że jako ruina daleko było piękniejsze — dziś straciło charakter.

„Pełno pałaców z poezji przetłómaczonych na prozę.

„Gondolierowie — nie śpiewają! Jest mowa o tem, aby pozasypywać kanały i skasować gondole. Któż wie? przyjdzie i do tego, że wozy będą turkotać po ulicach. Jedną taką — szeroką, nową a pustą — widziałem już — i przeraziła mnie trywialnością swoją.

„Dziś, gdy Austryaków niema — któż wie? wzdychają może za nimi!...

„Wiecznie tażsama historia człowieka, który w danym położeniu robi, co może, aby je uczynić nieznośnym, wywraca, co tylko się da obalić, i na ruinach wzdycha.

„Ale to jest — życie. Logiki w niem na małą skalę szukać — jest śmieszna pretensją: istnieje ona tylko w massach i wielkich czasu okresach.

„Zimno mi tu, i nie dziwuj się, że krótko bardzo rozejrzawszy się po tej Wenecyi nowej, jedynym tchem polecę de Genui.

„Medyolan pominę. Zostało mi wspomnienie tego dachu tylko zasadzonego lasem posągów, po którym błądziliśmy razem — i kościoła Ś-go Ambrożeo; nie mnie tam dziś nie pociąga. Spozalizio pewnie się jeszcze restauruje, a Wieczera Leonarda do reszty z murów opadła.

Genua.

„Nie dostrzegłem w niej wielkiej zmiany od czasu, gdyśmy tu razem gościli. Miasta portowe nie wiele pono zmieniają swą fizjognomią. Jakbym tu był wczora, tylko ani Bochenka, ani ciebie niema. Tęskno mi.

„W pałacach wszystkie Van Dyki na miejscu, stare sprzęty, których nikt nie używa, powolnie jedzą robaki. Na cudownych podwórzach szmerzą stare fontanny. Zdaje się, że teżsame figury, jakieśmy tu spotykali dawniej na Piazza Sarzana, chodzą po nim dziś jeszcze.

„Ale moja młodość i tu nie przyszła się ze mną przywitać. Porównanie wrażeń pierwszych z teraźniejszymi upokorzyło mnie. Straciłem władzę widzenia piękna; a kto ją w sobie zatrze, tego już nie w świecie nie zachwyci.

„Wycieczek w okolice, jakieśmy z tobą tak ochotnie robili niegdyś, nie mam najmniejszej chętki przedsiębrać.

„Umyślnie spytałem: co-by do widzenia było? Odpowiedziano mi.

„— Campo Santo.

„Miało to być coś nowego — pojechałem. Cmentarz przepyszny, jak z igły, wspaniały, majestacyjny, ziemny i nic nie mówiący, ale — doskonały interes.

„Jest to przedsiębiorstwo akcyjne, które dobre przynosi procenta, szczególnie, gdy ludzi dużo umiera. Genuńczycy tym pomysłem są dumni, zyskali monumentalnego coś i zrobili dobry interes.

„Nie jest-że to w duchu wieku: wszystko aż do łez wyzyskać? Gdy jedni płaczą, drudzy obracają procenta. Postęp ogromny.

„Campo Santo w Pizie, posypane drogą ziemią przywiezioną z Jerozolimy, ze swemi freskami dantejskimi, — to było wcale co innego.

„Należy zanotować, że nowe Campo, w którym są piękne a trywialne posągi, daje zarobek rzeź-

biarzom. Każdy, co się szanuje trochę, musi się o monument, choćby z szarego postarać marmuru. Szary marmur na grobowcach wcale przyzwyczajeniu wygląda, a sądzę, iż od białego z Carrary tańszym być musi.

„Czuje się trochę zmęczonym, ale cóż robić w Genui? I tu nikt mnie, a ja też nikogo, nie znam.

„Miałem myśl puścić się tą naszą drogą starą — Korniszy, ale ją popsuka kolej żelazna. Nizzy, Monaka, Cannes, — nie jestem ciekawy. Wierzę na słowo, że tam cudownie pięknie być musi i że kunszt wiele zrobił, gdzie tak łatwo stworzyć coś było.

„Zawrócę się więc pewnie nazad i wprost pojedę do Florencyi, gdzie zabawię dłużej!...

„I za to ręczyć nie mogę. Gdy jadę, zdaje mi się, że się będę mógł zatrzymać i zająć; gdy przybędę, niesmak mnie ogarnia, nic nie zaciekawia i nie wiąże: ruszam więc dalej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kilka listów z przeszłości

zebrał

Wielisław.

LIST IV.

(Dalszy ciąg).

Na balu u Prezesa Senatu, Ordynata Zamojskiego, bardzo mi się podobały sale pałacu marmoryzowane nabiąło, z porozwieszanymi obrazami antenatów i innymi historycznymi drogocennymi pamiątkami, jak np. serwis szczerozłoty florenckiej roboty po Wielkim Kanclerzu. Jadłam więc może widelcem, którym jadła Gryzelda, dwieście pięćdziesiąt lat temu. Nie każdy takimi srebrami poszczycić się może.

W przedsiönku, przemienionym w gaik cytrynowy i pomarańczowy, stało dwudziestu czterech lokai, w paradnej granatowej liberyi, z burtami o herbach Jelita, wszystko ludzie dworsey ordynata, bo tu nic pożyczonego nie ma. Na ostatnim stałe jeszcze widziałam talerze i serwety tym herbem znaczone.

Na balu Marszałka Izby Poselskiej, który się odbył w rotundzie Banku, na salę balową przemienionej, poznałam kilku najwyższych dygnitarzy jak minister wojny Hauke, Sobolewski, Gutakowski, kilku posłów legią honorową dekorowanych; między nimi byli Dobiecki, Skarzyński i Suthorzewski. Ten Dobiecki to mąż naszej koleżanki Magdzi, ale jej samej nie było, bo teraz karmi.

Do Mazura królewskiego stanęli — Referendarze stanu Łęski, Linowski, Turkuł i śliczny chłopiec, młody adjutant Księcia. Przy kolacyi uderzyły mnie ogromne wazon, z cukru pomadowego, wytwór sztuki cukierniczej Szymańskiego, ucznia Lessla, napełnione scukrzaliami pachnącemi fiołkami. Po kolacyi, dostrzegłszy na galerii moją poczciwą sąsiadkę Nowosielską, przysiadłam się do niej, i tak rozmawiałymy, patrząc, do końca balu; lepiej się ubawiłam na galerii niż na dole...

Bal u Księstwa Adamowstwa miał swoje odrębne urządzenie, odbył się bowiem i w ogrodzie oświetlonym, bengalskimi ogniami i latarniami chińskimi, i czterech przyległych salach apartamentu Księżny Anny Sapieżny. Osób było mnóstwo, bo kto u Księstwa niebywał? zawsze na wszystkich równo łaskaw. Był na kolacyi i wielki uczoney Humboldt; otoczony naszymi uczonymi

ścia zarzucali niedawno. dziś modliliśmy się już za duszę zmarłej... Pokój jej—pokój tej młodej Polce, która na to jedynie, zdaje się, odeszła w ojczyście strony, aby odetchnąć ojczystem powietrzem i zgasnąć na wieki.

Szukajmy weselszej nuty! Ktoś z dobrych przyjaciół komunikuje mi list, bez podpisu, chociaż autora łatwo się będzie domyślić. List ten, był pisany z następnej okoliczności. Przed dwoma laty bawił tu w Paryżu czeski poeta Vrchlicki (Frida). Serdeczne i miłe zostawił nam wrażenie i w swoim czasie dzieliłem się niemi z wami. Rok temu narodziła mu się córeczka. Vrchlicki ożeniony jest z córką pierwszej z znakomitej artystki Teatru Prazkiego—z najmiłszą i najserdeczniejszą, jaką znam, Czeszką. Na wiadomość o nowo-narodzonej szcziebiotce, autor listu, o którym mówię, uważając ją jako „Pominkę“ paryżkiej wyprawy, posłał pocie takie pozdrowienie:

„Wielce szanowny i drogi mistrzu“

„Jaskółki leciały z północy, uciekając przed zimą; gościły tu chwilę nad Sekwaną i powiedziały mi—że tam, w ciepłym słowiańskim gniazdku, nad Weltawą, zostawiły tylko narodzoną siostrzyczkę, i polecily mi przesłać jej serdeczne wspomnienie.

„Stary tułacz — tensam, co tak serdecznie tu witał, nad wodami wygnania, dostojnego ojca i lubą matkę, tej szcziebiotki. — posyła wam swe błogosławieństwo, dla narodzonej dziewczki.

„Jeśli nie weźmie czarownej geśli po ojcu, niech Bóg jej da zostać zawsze dobrą Czeszką; niech będzie, jak on, zasnę i kochającą swój kraj; niech weźmie wdzięki i słodycz matki, a po ojcu niech otrzyma miłość dla ziemi ojczystej.

„Otóż zapasem, i święta Bożego Narodzenia, i Święto Narodzenia waszej Jasnej Jaskółki. Daj wam, Boże, cieszyć się nią, a żyć szczęśliwie, jak dotąd, tyle a tyle lat! abyście z nią razem kiedyś oglądali ten cud — którego ja widzieć nie będę...“

Kiedy się już wesele i gwarzy, powiem wam jeszcze, że na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa Geograficznego Paryżkiego, 4 b. Lipca — otrzymaliśmy następujące zawiadomienie.

„P. Rogoziński, przedsięwziął wyprawę do Jezior *Liba* czy *Ryba*, których samo istnienie jest jeszcze zagadkowym — i znajduje się w tej chwili na wybrzeżach zachodniej Afryki.

„Pod datą 11 zeszłego Maja, pisze list z Mondoleh, i przesyła kartę w makuskrypcie, wykonaną na skalę przybliżoną $\frac{1}{380.000}$. Mondoleh — jest to wyspa, położona na południe Gór Kameruńskich, przy samych brzegach Afryki. P. Rogoziński założył na niej swą stacyą, która posiada w tej chwili dwie szalupy, narzędzia do obserwacji i do budownictwa potrzebne, niewielką bibliotekę i przyrządy potrzebne do zachowania rozmaitych kolekcji.

„Rozumie się, że P. Rogoziński nie zaniedbał wcale zebrać potrzebnych wiadomości od mieszkańców tamtejszych, o owych-to Jeziorach *Liba*, czy *Ryba*. Ale wiadomości, których mu udzielono w tym względzie, są tak dziwne, iż waha się ich powtarzać w pierw, zanim sam osobiście będzie mógł je sprawdzić *de visu*, jak da lece są prawdziwe. Mówiono mu, naprzykład, że u tych jezior mieszkają ludzie biali, albo prawdopodobnie koloru bardzo jasnego, a których wzrost, nie przenosi 3 stóp wysokości. Karły te, lekarze czy czarodzieje, przychodzą czasami na wybrzeże, gdzie widują ich w Bayongu.“

Wiadomo jest, kto był Józef de Maistre, i jaką rolę odegrał ten Sabaudczyk, jako dyplomata i pisarz na początku naszego wieku. Prawowierny katolik, obrońca siły i władzy w ogóle, i z tego względu przez przedstawicieli zachowawczości wielbiony, był de Maistre prototypem tych szermierzy pióra, którzy przekraczają ciągle granicę spokojnego rozumnego rozumowania i umięją pisać — tylko jadem. Cierpki, ale silny i zdrowym obdarzonym sądem o rzeczach, de Maistre, nie troszczy się o blask i ogładę — bo potęga wyrażenia zastępuje w nim wszelkie inne przymioty pisarza. Każde jego ukąszenie wyrzywa z szatą i kawałek ciała nieborakowi, który mu wypadł pod zęby. Niedarmo go tak bardzo cenili Veuil-

lot; był to jego ideał, ku któremu zawsze się zwracał, niezawsze dorównać mu mogąc. Nowe, nieznanne przedtem, dzieło takiego pisarza musi być prawdziwie cennym nabytkiem.

W tej chwili odbieram z Lugdunu mokre jeszcze odbitki, pierwszego tomu — ma ich być cztery — *Korrespondencji Józefa de Maistre'a*. Wydanie to, przyjeźli na siebie pp. Vitte i Perrussel, znani drukarze - wydawcy lyońscy — kilka z tych listów wyszło już w przeglądzie: *La Controverse* redagowanym również w Lyonie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZA OCEANEM

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY do Brazylii.

przez

HELENE NEGRONI.

(Dalszy ciąg).

III. Kraj i ludzie.

Tak więc, mieszkańcy są niesympatyczni, klimat niezdrowy, nużący, ciągle się jest jak w ogrzanej parą cieplarni, pełno wszędzie jadów i gadów, w mieszkaniu opędzać się trzeba przed olbrzymiami chrabąszczami, mrówkami, skorpionami, tarantulami i stonogami, których ukąszenie bywa bardzo niebezpieczne, a niekiedy nawet śmiertelne. Po zachodzie słońca nikt nie wychodzi, z obawy nadeptania na węza. Jest ich taka moc ogromna, że w mieszkaniach nieraz się zjawiają, o czem, niestety, mieliśmy sposobność sami się przekonać. Szwagier mój zabił już pięciu węży w ogrodzie otaczającym dom; z tych jeden był tak zwany „Cobra a due cabesse“, uważany tutaj za najjadowitszego. „Cobra a due cabesse“ znaczy dosłownie: „wąż o dwóch głowach“; lud prosty przekonany jest, że naprawdę istoty te mają dwie głowy. Węże w rzeczy samej są bojaźliwe, nigdy pierwsze ludzi nie napastują; owszem, widząc ich, z daleka uciekają; niebezpieczeństwo jest tylko wtedy, gdy się niechcący nastąpi; wtedy wąż podnosi głowę, w mgnieniu oka owija się około swego nieprzyjaciela i zęby w ciało zapuszcza, a na jad ten dotąd antydotu nie znaleziono. Wszystkie opowiadania o Indyanach, jakoby posiadających ziola na jad węzowy, są poprostu, jak wiele innych, baśniami.

Indyanie, sami zręczni i rzutni jak węże, chwytają je z łatwością i wyjmują woreczki z jadem znajdujące się z dwóch stron szczęki pod zębami, z których przy ukąszeniu jad się sączy i ranę zatruwa, chwając się potem, że jad ten zażegnawać umięją.

Jeździ wprawdzie pewien Anglik, już od kilku lat, ciągle między Anglią i Południową Ameryką, na statku angielskim Towarzystwa „Royal Mail“, mającym kajutę naumyślnie do tego przyrządzoną, w towarzystwie niezliczonych węży, które podobno muzyką sobie przyswaja. Wiją się one po podłodze; lubownik nowego sportu sypia z niemi i jada bez żadnego wstretu, owszem z pewnym miłym zadowoleniem, a po całych dniach przygrywa im na fortepianie. Oczywiście, wygląda to na bajkę.

O muzykalności jaszczurek sama się przekonałam. Nieraz w południe, gdy wszyscy pogrążeni w śnie i spokój najzupełniejszy panuje tak w domu, jak i na ulicy, wysuwam się z mieszkania i przesiaduję w ogrodzie, pod ogromnym drzewem. Dnia jednego próbowałam, nucąc, przypomnieć sobie jakąś ulubioną melodyę; ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, spostrzegłam główki zielone, mieniające się w różne kolory, jak wyglądały

z pomiędzy gałęzi, z wlepionemi we mnie oczkami. Zdziwiona, zamikłam, a powoli jedna po drugiej znikaly.

Po chwili znowu nucić zaczęłam. Tym razem śmieiej główki się podnosiły, a na ziemi, w koło mnie, jak tylko okiem rzuciłam, pojawiały się piękne szmaragdowe stworzonka. Otdąd ilekroć sobie zanuąc, cały mój światek się zbiera, a jest ich nie mało wszelkich rozmiarów i kolorów, w opalowe, tęczowe, szmaragdowe i turkusowe pancerze przybranych; mienią się zdaleka, jak drogocenne klejnoty. Ta godzina, w której żaden ruch gwałtowny, żaden hałas, nie płoszy moich gości, daje mi prawdziwie miły widok tego jaszczurkowego parteru.

Prócz tęczyowych jaszczurek, mam i innych gości, których piękności opisać nie zdołam: olbrzymich rozmiarów, lśniących tysiącem kolorów, prześlicznych motyli i miniaturowych, również pięknych w tysiące farb ustrojonych ptaszeków, wielkości dużego chrabąszcza; lśnią one jak klejnoty wśród zieloności; szukają najczęściej napoju w kropkach rosy osiadłych na dnie kielichów kwiatowych i ścielą sobie w nich gwiazdka. Dostyc jest tylko szelestu liści, ażeby cały ten uroczy światek spłoszyć...

Małpki, wielkości wiewiórek, zajmują miejsce piesków pokojowych; są figlarne, delikatne, — prawdziwie pieszczoszki; dzień cały spędzają na ramieniu swej pani i tak się do niej przywiązują, że z trudnością największą przychodzi je powoli od siebie odzwyczajać, gdy się je ma komu innemu oddać, bo z tęsknoty biedactwo to najczęściej zamiera.

Dużych małp jest bardzo wiele, ale tych po domach chętnie nie trzymają, bo są bardzo szkodne. Upał coraz więcej dokucza nam zaczyna; jesteśmy w końcu Listopada, prawie więc w pełni lata. Zabawnie będzie obchodzić święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok wśród szalonych upałów!

Wkoło nas wszystko jak na drożdżach rośnie; gałązki posadżane przy mnie w pierwszych dniach przyjazdu powyrastały już po czterech miesiącach na spore drzewa; szparagi, które probowano aklimatyzować, wybujały w ogromne krzaki. Ale nie tylko produkta ziemi rozwijają się z taką siłą; również w górę pędzą tu przeflanowane inne roślinki — dzieci europejskie; pokarm sam, niedostatecznie posilający osłabia je, upał wycieńcza, a to nienaturalne gwałtowne rośnięcie odbiera im resztę sił.

Czternastoletni siostrzeniec mój, który przed półtora rokiem przyjechał małym chłopcem, tak wyskoczył w górę, że dziś liczy się do najwyższych mężczyzn, gnie się jak trzcina, na nogach ustać nie może i doktorzy każą mu na gwałt ztąd wyjeżdżać.

Czem żółta febra jest dla okolic i miasta Rio-di-Janeiro i krajów nad Zatoką Meksykańską, tem jest gorączka zwana „Beri-Beri“ dla prowincji Bahia i Pernambuco.

Chory zaczyna od tego, że bardzo powoli i nieznanie traci siły i apetyt i staje się ociężałym w ruchach. Postęp ten jest tak powolny, że go sam chory nie spostrzeżę, dopiero naraz, pewnego poranku poznaje, że nogami zaczyna powłóczyć a wtedy choroba już jest śmiertelną, rzadko kiedy wyleczalną. Jedyny środek ratunku jest w ucieczce: potrzeba natychmiast, nie tracąc dnia jednego, wziąć na pierwszy lepszy okręt i wracać do Europy. Oczywiście, tego i tak wykonanego, środka rzadko kto użyć może, bo któżby mógłby w mgnieniu oka porzucić rodzinę, dom, interessa? Często bardzo brak gotowego funduszu staje na przeszkodzie. Powiadają, że przyczyną tej okropnej choroby, bardzo tu rozpowszechnionej, są poprostu złe warunki bytu, niedostatecznie posilny pokarm, przy wycieńczeniu sił przez szalone upały.

Gorączka ta jest przyczyną, dla której nie udaje się tu kolonizacya na wielką skalę przez wychodźców z Europy. Tysiące biedaków nęconych bogactwem natury i stosunkowo łatwo zaspakajającymi się potrzebami, próbuje się tu osiedlić; ale wkrótce przekonują się, że jest to niepodobieństwem i, o ile im na to środki pozwalają, przenoszą się do sąsiednich Stanów La Plata,

gdzie klimat umiarkowany, zdrowy, ziemia urodzajna, zapewniają jeżeli nie majątek, to przynajmniej nie-suchy kawałek chleba.

Wszelkie te niedogodności tak klimatu jak stosunków i ogólnego położenia mieszkańców łatwo dałyby się przezwyciężyć a przynajmniej złagodzić, przez ułatwienie komunikacji, któreby umożliwiając rozwój handlu i przemysłu spowodowały ułatwienia i ulepszenia w warunkach życia i w dalszych następstwach swoich uprzyścipleniły ogółowi niezbędne dla zdrowia wygody. Do tego przyjdzie dopiero wtedy, gdy niewolnictwo zniknie a potęgą składającą się z milionów wyzwoleńców Murzynów, stanowiących większą część ludności, chcąc i mogąc wówczas swobodnie rozwijać swoją pracę, prawdziwy interes swój zrozumie.

Rząd tutejszy, monarchiczno - konstytucyjny, jest rozumny i sprawiedliwy; ale *nec Hercules contra plures*: nie łatwo działać tam gdzie masa ludności jest wyłączną własnością pewnej ograniczonej liczby indywiduów, którzy nie prócz własnego chwilowego interesu i beczynności, nie są zdolni objąć słabym umysłem, podobni do owych średniowiecznych panów feudalnych z których rozdrobionych potęgą rząd rachować się musi.

Odrąz podkopać stan rzeczy od wieków istniejący, byłoby to zruinować zamożną część społeczeństwa i samowolnie rozpuścić motłoch niezdający dotąd sobie sprawy ze swojej samoistności, niemający innego sumienia i wyobrażenia uczciwości nad strach przed panem. Rząd, nie chcąc narażać kraju na zalaniego od razu niczem nie pomaganym żywiciem, wołał raczej działać powoli i mieć czas włożenia ich do nowych warunków, ażeby kiedyś z zimną krwią i zastanowieniem dochodząc do wolności, umieli jej użyć i stali się zdolnymi do wykonywania pomysłów ludzi rozumnych, które jedynie mogą zmienić życie tego ogromu zwanego Cesarstwem Brazylijskiem. Wtedy państwo to stanie się ziemią obiecaną innych krajów — będzie to kiedyś zapewnione i prawie nieprzebrane źródło bogactwa. Dziś tylko przypadkowo, dla pojedynczych osób, Brazylia jest korzystnym polem do działania; teraźniejszą zaś ziemią obiecaną, spłaznią tak Ameryki Południowej jak Europy są Stany La Plata, które dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności poznać miałam sposobność po wyjeździe z Brazylii.

IV. Boże Narodzenie, wycieczka w głąb' kraju. Wyjazd z Bahii.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy przyjemnie, w miłym towarzystwie, zawitał bowiem w Bahii, w przejeździe do Buenos Ayres, okręt marynarki wojennej francuskiej, pod dowództwem admirała Motez, który odbywał całoroczną stacją na brzegach Afryki, w tak zwanym: „Gabonie“ prowincji od bardzo niedawnego czasu zajętej przez Francuzów i zaludnionej przez napół dzikich Murzynów. Prócz jedynej, utrzymującej rodzaj kawiarni, starej Francuzki, rzadkiej podobno brzydoty i mogącej służyć za okaz niezaprzeczonej do poparcia zasady Darwina, nie ma tam jednej cywilizowanej postaci ludzkiej. Po roku spędzonym na takim pustkowiu nawet Bahia zdawała się biednym wygnańcom rajem niezrównanym, a ciepło naszego domowego ogniska — prawdziwym dobrodziejstwem, przypominającym im oddawna opuszczone progi rodzinne. Z wdzięcznością też przyjęli ofiarowaną im gościnność w dzień Bożego Narodzenia, w ten dzień uroczysty łączący wszystkie serca chrześcijańskie jedną spójnią miłości, a łagodne światło drzewka pamiątkowego wzbudziło tysiące wspomnień w ich stęsknionych sercach i tysiące życzeń cicho się ztąd przesunęło, daleko poza obszar Oceanu, do starego świata, ścigając tam ogniska i istoty ukochane.

W dłuższych podróżach, w oddaleniu od wszystkiego, co ukołysało dziecinne nasze lata, podobne uroczystości mimowoli na myśl przywodzą szczęścia, w których młoda wyobraźnia stawiała na pierwszym planie wigilią i gwiazdkę. Cały

dzień chodziłam też jak we śnie, ciągle miałam przed oczami mieszkania nasze w Warszawie z szybami o tej porze zwykle mocno zamrażniętymi, oddzielające nas jakby białym całunem od reszty świata zewnętrznego; zdawało mi się, że słyszałam dolatujący przez nie odgłos krótkich suchych uderzeń tysiąca śpieszących nóg o bruk zlodowaciały. Snuły mi się przed oczami ulice Warszawy, Ogród Saski obleczony śnieżnym puchem, zamrażnięta stara Wisła w mgłę strojną, ze spokojem poglądnąca na szalę swej ukochanej Syreny. Po ulicach ruch niezwykły, sanie naładowane sprawunkami, drzewkami, futrami, śniegiem przybielonemi, krążące jak szalone przy odgłosie dzwonek i wołaniu woźnic, później wicherza wspólna, życzenia przyjaciół, radość dzieci — wszystko mi to w głowie brzmiało, tętniało, szumiało, póki sen nie znużył mych powiek i tęsknoty nie ukołysał — nazajutrz ciepły prąd powietrza dochodzący przez otwarte okna rozwiał me marzenia i przypomniał mi, że jestem w Bahii, daleko od kraju.

Wkrótce po świętach admirał z załogą odpłynął na roczną stacją do Buenos-Ayres.

Muszę tu wspomnieć o ciekawej sześciotygodniowej wycieczce w głąb' kraju, którą szwagier mój odbył z początkiem Listopada. Celem jej było zwiedzenie wodospadu Paolo San Alfonso, który ma równie być wielkim, jak sławny wodospad Niagary, a tem ciekawszy, że utworzony przez źródła rzeki San Francisco, płynie z wysokości z niesłychaną gwałtownością, tworząc olbrzymią kryształową szybę; szybą ta dwa razy o skały się łamiąc, raptem prostopadle prawie, z niesłychanym hukiem wpada wąską szczeliną w podziemną otchłań, gdzie zupełnie niknie i dopiero o kilka mil dalej szerokim korytem wypływa na powierzchnię ziemi.

Przygotowania do wycieczki były bardzo mozolne i drobiazgowo, kierował niemi Konsul Belgijski, który odbył już kilka podobnych podróży, przyłączył się także do ich towarzystwa Konsul Portugalski i we trzech w drogę wyruszyli. Mieli ze sobą trzech Murzynów, kilkanaście mułów, wszystkie możliwe prowizye i przybory, hamaki, derki, zapasy żywności, wino, wodę i broń. Całym ich przytułkiem w drodze, zastępującym nasze hotele i zajazdy, były słupy drewniane, dachem pokryte, o 12-cie godzin drogi oddalone od siebie; na nich hamaki zawieszony, mogli podróżni swobodnie obozować, wolni przynajmniej od węzów i dzikich zwierząt.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

(Dalszy ciąg — Ob. Nr 31).

XIII. Sainte-Beuve i nowoczesna krytyka.

Największym dziełem Sainte-Beuve'a jest: *Port-Royal* (1840—59). Za główny jego temat wybrał sobie historią Jansenizmu we Francyi. Jansenizm był ognistą formą religijności, opartej na Katolicyzmie; odznaczał się osobistą czyli kacerką namiętnością dla prawdy i bratersko umiał się opierać przesładowaniu; osiągnął szczyt swego rozwoju w Pascalu.

Sainte-Beuve posiadał wszelkie warunki do napisania historii Jansenizmu. Był niegdyś „wierzającym“. Dwa pierwsze tomy, z całości najlepsze, cechują mistrzowskimi portretami Franciszka de Sales i Ś-go Cyrenea, które stworzył z kilku rozpraw i kazań tych mężów. A znać przytem, że Sainte-Beuve był romansopisarzem, tyle tam scen barwnych i pełnych życia, pomimo to posłu-

guje się fantazyą, nie dla wymyślenia czegoś, ale dla odmalowania. Głównym jednak momentem zbywa na historycznym stylu. Dawniejsze tomy lepiej pod tym względem są pisane, ale traktowane za specjalnie, a przeto mniej zajmująco.

Daleko wyżej stoi Sainte-Beuve w długim szeregu dzieł znanych jako *Causeries de lundi* i *Nouveaux lundis*. Te artykuły nie prędko zostaną zapomniane. Panuje w nich szlachetny attycyzm, a ton spokojny i lekko sceptyczny. Kilka przykładów giętkości jego stylu w satyrze: „Pewien akademik przyznał Nisarowi siłę, kilku uczonych zaś wdzięk“. O Cousinie: „Jest to zając ze spojrzaniem orła.“ O Mussecie znowu, gdy go chwali: „To, przez co on wywiera wrażenie, nie jest bynajmniej gammą kolorów; wyłącza on i ożlaca rzeczywistość, którą maluje, tak jak poranne słońce ożlaca pyłki — i dla tego, podobnie jak w Przemienieniu Pańskim, mieni się obrazem jego w naszych oczach“.

Reforma krytyki dokonana przez Sainte-Beuve'a była wszechstronną. Najpierw podłożył pod nią historią i nauki przyrodnicze. Rozbierał on dzieło od jego poczęcia, i poza papierem musiał odnaleźć człowieka. Nauczył ogół, że się nie rozumie żadnego aktu z przeszłości, jeżeli się nie zna stanu duszy, który akt ten spowodował; tylko w ten sposób dokument nabiera życia, historią ożywia duch. Ponieważ jednym z przymiotów Sainte-Beuve'a było pragnienie wiedzy, nie dziw więc, że inaczej skończył, aniżeli Gautier, który rozpoczął ostro i wybitnie, a skończył bezsilnie. Sainte-Beuve, zrazu pobłażliwy dla swych przyjaciół, później zmienia się zupełnie. Po pierwszym artykule dytyrambicznym o Chateaubriandzie, pisze inne po jego śmierci, wprost przeciwne i przeczące; dopiero też, gdy stanął na szczycie swego rozwoju, umiał się trzymać sprawiedliwego środka. Nie podsuwa wszystkiemu szlachetnych pobudek, ale nie podsuwa też i nizek, nie wysławia ludzkiej natury, ale też jej i nie poniża. Zna już ją teraz. Gdzie stoi najwyżej, tam uniwersalnością swego ducha przypomina Goethego. Rozbiera człowieka donaga; umie z jednego wyznania objaśnić jego pobudki; umie dzięki „zdolności do znalezienia pilki w stodole“, wykryć dno jego serca, zbadać jego pochodzenie, zdrowie, majątek, ciąg i rozwój jego idei; ze spokojem badacza przyrody odważa skłonności ku dobremu i złemu i w ten sposób dochodzi do prawdopodobnego portretu, a raczej do szeregu prawdopodobnych lecz kłócących się ze sobą portretów. Pochodzi to ztąd, że nie czytał on jednego dzieła lub wszystkich dzieł jednego autora w różnych porach swego życia czyli dojrzałości, lecz sądził z jednorazowego swego usposobienia. Może też dlatego nadał takie motto dziełom swoim: „Nous sommes mobiles et nous jugeons des êtres mobiles“. Zdanie też to, że każda ludzka istota, którą sądzimy, znajduje się w niustannym rozwoju, pojmuje Sainte-Beuve lepiej od innych, gdyż zawsze wraz z przedmiotem zmienia i ton i sposób przedstawienia, jak tylko jeden i ten sam przedmiot zmienił swój charakter. Zatem zmienia i sposób pisania; niustannie miesza biografiją z krytyką, wszczepia dużo nawiasów, przytacza zdania osłabiające wagę poprzednich i posługuje się technicznymi wyrazami, pociągającymi za sobą dalsze kojarzenie się wyobrażeń. Czysto też z umysłu trzyma się ogólników, zwłaszcza, gdy pisze o żyjących, jakgdyby chciał dać do zrozumienia, że wie daleko więcej, ale milczy umyślnie.

Z latami stał się Sainte-Beuve śmielszym i był więcej filozofem w swej psychologii. Za pierwszy krok postępu swego uważał pozbycie się fałszywej idealności, a za drugi ten, że krytyka, która dotąd była analizującą, stać się powinna obejmującą wszystkie ważne szczegóły. Przez Sainte-Beuve'a przeto historia literatury, dotąd uważana za rodzaj podrzędnej umiejętności historycznej, stała się drogowskazem dla prawdziwej historii, a nawet najżywotniejszą częścią historii — dlatego, że w literaturach właśnie posiada historia najbogatszy dla siebie materiał.

Mówiliśmy, że historyczna działalność Sainte-Beuve'a nie oderwała go zupełnie od poezji. Istotnie, z chwilą, w której krytyka przerobiła się

na systematyczną, uczyniła i poezya zwrot równoległy. Z początkiem stulecia zdolność wyobraźni pasowała na poetę, nie potrzebował on trzymać się natury i prawdy, lecz gdy zwolna romantyzm zwracać się począł do badania rzeczywistości, zaniechała wreszcie poezya swych fantastycznych wycieczek w eteryczne krainy. Usiłowała teraz, nietyle komponować, ile rozumieć, i przez to zbliżyła się do krytyki. Romans stał się psychologią. Romansopisarz i krytyk wychodzą teraz z jednej zasady: jeden chce czyni człowieka, drugi napisane dzieło tak przedstawić i objaśnić, żeby czyn i dzieło wydały się produktami, które człowiek koniecznie lub z pozorem konieczności wytworzyć musiał, jeżeli na to złożyły się zewnętrzne wpływy i wewnętrzne usposobienie. Różnica tylko jest ta, że poeta każde swoim kreacyom działać i mówić stosownie do danych okoliczności, gdy krytyk najzupełniej wiązany jest samą istotą rzeczy, tak że fantazya jego ogranicza się tylko na odszukaniu stanu duszy, który spowodował ową istotę rzeczy, ów dany takt a taki fakt. Romansopisarz wnioskuje z zauważonego charakteru o jego możliwych czynach; krytyk z zauważonej całości patrzy wstecz na charakter, będący jej podstawą.

Krytyka była jednym z pierwszorzędných przymiotów największych poetów tego stulecia. E. de Montégut tak pojmował krytykę, pisząc te słowa: „Krytyka jest dziesiątą muzą. Z nią był Goethe tajemnie zaślubiony, ona to zrobiła zeń dwudziestu poetów. Co innego jest podstawą niemieckiej literatury, jeżeli nie krytyka? czem są angielscy poeci dzisiejsi? — Wzruszonymi krytykami. Czem Leopardi? Płomieniejącym krytykiem... Krytyka jako zdolność podciągnięcia istniejącego stanu rzeczy pod sąd, była inspirującą potęgą i dla wielkich liryków tego stulecia, i dla Byrona, W. Hugo, dla pani Sand, dla Lamartine'a. Od chwili, gdy poezya przestaje odwracać się od życia i współczesnych idei świata, od chwili, gdy liryczno-romantyczni poeci stali się organami tych idei, odtąd odczuwa się w ich poezyi krytykę, jako ożywiającą zasadę. W ten sposób natchnęła ona W. Hugo w *Les Châtiments* a Byrona w *Don-Juanie*. Krytyka ogradza drogę płotem a oświeca pochodniami, wytyka nowe drogi i zaciera stare, bo krytyka właśnie przesadza góry i wszelkie te olbrzymie pagórki powagi, przesadę, potęgę bezmyślnej oraz trupiej rutyny.

XIV. Vitet. Dumas.

Tryumfy szkoły romantycznej na polach liryki, romansu, nowelli i krytyki, nie mogły tylko zająć na polu dramatu. Ponieważ zaś dramat uważany był za szczyt trudu i zasługi poetyckiej, nie wielkie przeto stosunkowo powodzenie w nim było tem trudniejsze. Utwory szkoły romantycznej nie mogły nigdy na dobre przyjąć się na scenie. Sztuki W. Hugo stały się tylko popularnymi jako libretta do oper włoskich, Mériméego nigdy nie doszły do wystawienia; p. Sandi Balzac'a, osiągnęły zaledwie *succès d'estime*, Alfreda de Musset później daleko i to drobnostki zjednały sobie jakiś poklask: gdy tymczasem Scribe i jego współpracownicy zapełniali wszelkie francuzkie i niefrancuzkie teatry. Aprzeciż i mimo to szkoła romantyczna może się i na dramatycznym polu pochwalić niezwykłymi siłami. Pierwsze usiłowanie w tym kierunku i wśród „Cenaklu“ było nadzwyczaj oryginalne. Jeszcze w r. 1826—29 Vitet wystąpił ze swymi „scenami dramatycznymi“. Wziął on żywcem wydarzenia z historii Francji i przedstawił je w dramatycznej

formie, fantazją posługując się jedynie do nadania życia historii. Udało mu się istotnie otoczyć te „sceny“ taką atmosferą a postaciami tym z w. XVI-go nadać takie prawdopodobieństwo, że czytając je, zdaje się, iż się idzie krok w krok i godzina po godzinie za historią.

Ludwik Vitet, ur. w r. 1802, pisywał w *Globe* jako namiętny zwolennik romantyzmu. Na ten peryód przypada cała jego działalność historyczno-poetyczna, z wyjątkiem szeregu scen p. t. *Les états d'Orléans*,—które wydał w r. 1849. Po rewolucji lipcowej został inspektorem historycznych pomników Francji, którą to posadę Guizot umyślnie stworzył dla niego. W r. 1834 został deputowanym, 1846 członkiem akademii. Dopiero po r. 1870 zajął wydatne stanowisko pod Thiersem; umarł w r. 1873.

Jest on żywym przykładem tego faktu, że silny jakiś ruch artystyczny może podnieść nawet umysły zkadąd niezdatne dla sztuki do arcydzieł. Vitet po r. 1830 ukazując się w pisarskiej działalności tylko jako uczonego specjalista historii sztuki; atoli literackie jego i historyczne *Essays* są tak nudne jak i Mériméego. Dla tego zawsze zwracać się trzeba do dzieł jego młodzieńczych: *Les Barricades*, *Les états de Blois* i *La mort de Henri III*. Charaktery Henryka II-go i III-go oraz Gwizyuszów są tak znakomicie skreślone, że mogą wytrzymać porównanie pokrewnymi osobami tragedji historycznych Shakespeare'a; z wyjątkiem Henryka IV i Ryszarda III-go. Poglądy ówczesne, sposób myślenia i obyczaj stulecia, wszystko to w żywej prawdzie swojej się maluje. Żaden umysł społeczny samym wypadkom nie mógłby ich odmalować lepiej. Najznakomitszym utworem jest: *Les états de Blois*, zwłaszcza scena zamordowania księcia Gwizyusza. Vitet ukazuje nam tutaj Henryka III-go, gdy o czwartej w nocy, w swojej komnacie, zanurza kunsztowne hiszpańskie puginały w święconej wodzie, a potem, drżąc cały i nie wymawiając nazwiska swego przeciwnika, te narzędzia zbrodni rozdaje między powierników... Odsyłamy czytelnika do odczytania wzruszającej głęboko sceny, gdy Gwizyusza mordują sprysiężeni. Vitet pisał wogóle swoje sceny do czytania a nie do oglądania na scenie; przy historycznej bystrości swojej nie miał poetycznej namiętności i talentu artystycznego kształtowania. Nie umie on też rozwijać patosu ani dojść do owego punktu kulminacyjnego, około którego wszystko się skupia. Autor ten lękał się zmienić najmniejszy choćby szczegół historyczny i dać przewagę swojej indywidualności. Dlatego też, że mu brakło poetycznej swobody i potężnej historycznej fantazyi, zamilkł Vitet tak prędko.

W ślady jego wstąpił bezpośrednio St. Dumas—powiada Brandes, nie wspomniawszy, dosyć według nas niesprawiedliwie, o nim jako o romansopisarzu potężnego talentu. Usiłował i on—powiada dalej—materiały historyczne dramatyzować, a wystąpił na rok przed W. Hugo (w r. 1829) z historycznym dramatem *Henri III et sa cour*. Odrazu zyskał ogromne powodzenie. Był to wielki talent, atletyczny temperament. Przez 30 lat pisywał nieustannie tragedye, komedye, romanse, nowelle, opisy podróży i pamiętniki. „Byłoby niesprawiedliwie—powiada słusznie Brandes—szydzić z takiej olbrzymiej siły wyobrażeń i z takiej nadzwyczajnej płodności. Znać w tych pismach francuzko-afrykańską krew, kreolską naturę i zmysłowy ogień czarnej rasy. Żałować jednak trzeba, że lekkość jego wrodzona nie pozwoliła mu na porządną rozwój. Tyłko w pierwszej młodości był artystą, w epoce romantycznej był romantykiem, w epoce przemysłowej: przemysłowcem“. Dramatem *Henryk III-ci* dokazał tego, czego Vitet nie zdołał: stwo-

rzył pełen życia dramat sceniczny, przyczem pozornie tylko odstąpił od klasycznego teatralnego konwenansu. Odważył się na zniesienie etykiety dworskiej. Dumasa inne historyczne dramata z czasów młodości (*Napoléon Bonaparte*, *Charles VII chez ses grands vassaux* i t. d.), odznaczają się płytkim psychologizmem. Dopiero później, gdy doszedł do stulecia, nad którym umiał zaplanować, udało mu się stworzyć wyborne obrazy, np. *Matżeństwo za Ludwika XIV-go* i *Gabryela de Belle-Isle*. Jeszcze w roku 1831 wytworzył prawdziwy typ, od którego pokolenie romantyków imię przybrało. Tym typem był: *Antony*. Pomimo usterek, sztuka ta nie ustępuje najlepszym pracom Dumasa, tkwi w niej zaś więcej pierwiastku ludzkiego, aniżeli we wszystkich innych. Jeżeli wywiera silne wrażenie, to dlatego, że Dumas wniósł tu całe swoje *ju* z całą gwałtownością, młodzieńczym irycerskimi instynktami: Antony jest entuzjastą i zrozpaczoną, gotów zawsze sobie lub innym śmierć zadawać. Powodzenie sztuki głównie polegało na tem, że bohater taki występował w czarnym tużurku, tak jak wszyscy, a nie w średniowiecznym kostiumie. W IV akcie jest dyalog, czyniący alluzją do literackich walk chwili. Bardzo ciekawe są słowa, które tu jedna z osób, poeta, wypowiada, a słowa te przyjęto olbrzymim oklaskiem. Odtąd „namiętność“ weszła na porządek dzienny. Nie podajemy tu treści znanego wreszcie utworu; dosyć, że gdy dziś sztukę tę się czyta, oburza ona lub wywołuje uśmiech i zdziwienie, jak mogła wzbudzać tyle zapamiętań, oklasków, płaczu i ryku! Dumasowi porwała wówczas młodzież tużurek na kawałki, ażeby je zachować, jako relikwią. Objaśnić ten zapamiętanie łatwo tem, że nigdy nie śmiejemy się z dzieła, które daje wyraz naszym własnym uczuciom i usposobieniom, takim zaś był wówczas *Antony*—a może i dziś jeszcze zgodziliby się nawet na przesadę jego czynów ze względu na delikatność jego uczuć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dla powodzian złożono w naszej Redakcyi.

PP. Adela Krajska rs. 1. — Karolina Ostrowska rs. 1. — Walentyna Jakubowiczówna rs. 1. — A. Ł. rs. 2. — Z. M. rs. 1. — Lewandowski z Władykaukazu rs. 2 kop. 65. — F. S. rs. 1.

Sprostowanie.

W Nr. 32 *Bluszczu* w opisie podróży „Za Oceanem“ na str. 258 w 1—3 wierszu od początku powinno być: „z dwudziestu prowincji, z których *niejedna* większą jest od Francji“. Takich prowincji jest mianowicie 5: Amazonas blisko 4 razy, Matto Grosso 2½ raza, Para przeszło dwa razy — większa, wreszcie Goyaz i Minas Geraes.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się powieści pod tytułem: **Sąd Boży**, arkusz 10-ty.

TREŚĆ. Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego w Tarnowie.—Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Kilka listów z przeszłości, zebrał Wielisław (dalszy ciąg). — Nowiny paryzkie. — Za Oceanem, przez Helenę Negroni. — Romantyzm we Francji, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. —